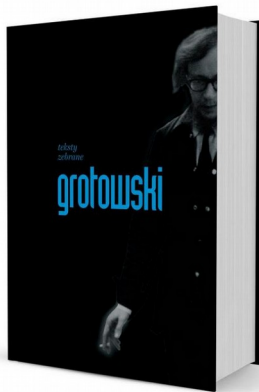


## Duma i uprzedzenie

Prawda jest taka, że poza nielicznymi wyjątkami, polskie środowisko teatralne i teatrologiczne woli podtrzymywać fałszywe stereotypy i uprzedzenia, niż naprawdę przejąć się i zająć Grotowskim - pisze Dariusz Kosiński.



Dwa tygodnie temu byłem w Falmouth, niewielkim mieście portowym w Kornwalii. Na imponujący Performance Department tutejszego uniwersytetu przeniósł się niedawno z Aberystwyth Richard Gough, współzałożyciel i szef Centre for Performance Research, redaktor prestiżowego pisma "Performance Research" i wielki przyjaciel polskiego teatru. Tu właśnie zorganizował

finalowe wydarzenie trzyletniego projektu "The Laboratory Theatre Network", który CPR realizował od roku 2012 w ścisłej współpracy z Instytutem im. Jerzego Grotowskiego wrocławiu i Odin Teatret. Trzydniowe spotkanie zapowiadane jako konferencja było właściwie okazją do podzielenia się doświadczeniami, refleksjami, osobistymi historiami, opowiadanymi w zdecydowanej większości przez praktyków, mających (to element tradycji laboratoryjnej) dużą łatwość i potrzebę autorefleksji. Oczywiście opowieści i autokomentarze miały nierówną wartość, ale w większości były naprawdę fascynujące. Richard, mistrz niespodzianek i zaskakujących połączeń, z powodzeniem zestawiał obok siebie nowojorską opowieść Ellen Lauren, najbliższej współpracownicy Ann Halprin oraz relację Bekima Lumiego, kierującego Teatri Laborator Loja z kosowskiej Pristiny. Coś, co zapowiadało się jak chaotyczne spotkanie kombatantów dawnych teatralnych bojów zamieniło się w pasjonujące i przejmujące spotkanie.

Dla mnie i Moniki Blige z Instytutu Grotowskiego miało ono jeszcze jeden szczególny i zaskakujący wymiar - doświadczenia patriotycznej, lokalnej dumy. Niemal każdy w opowiadających swoją historię artystów wspominał, jak to w szczególnym, przełomowym momencie swego życia, w sytuacji zagubienia albo niepewności, co dalej robić, jakiemu teatrowi i czy w ogóle teatrowi się poświęcić, mniej lub bardziej przypadkowo trafiał do Polski i tu właśnie spotykał teatr wprost niewiarygodny, niewyobrażalny, a to spotkanie zmieniło wszystko i wprowadziło na ścieżkę, którą wędruje do dziś. Od Eugenia Barby, który Polsce, "ziemi popiołu i diamentów", oddał szczególny hołd w swojej książce (Eugenia w Falmouth nie było, ale tę historię przypomniano), przez Mike'a Pearsona, Stacy Klein. Paula Allaina, po Annę-Helenę McLean i Bekima Lumiego - wszyscy w swoich opowieściach przywoływali ten sam przełomowy moment: wizytę w Polsce, teatralną rewelację inspirującą lub zachęcającą do własnych poszukiwań, które w większości przypadków prowadzone były we współpracy z polskimi artystami. W opowieściach pojawiało się oczywiście nazwisko Grotowskiego, ale też bardzo często wspomniano Włodzimierza Staniewskiego i Wojciecha Krukowskiego, przywoływano wrocławskie Festiwale Teatru Otwartego, polskie grupy alternatywne i przedstawienia widziane w teatrach instytucjonalnych. Przy każdej takiej wzmiance patrzyliśmy na siebie z Moniką dumni, jakbyśmy to my sami tworzyli ten wspaniały i inspirujący teatr.

Duma to jedna sprawa, ale druga - świadomość tego wpływu, której chyba w Polsce nie mamy, zwłaszcza dziś, gdy teatr poszukujący, alternatywny czy niezależny (jak zwał tak zwał) traktowany jest z wyższością i generalnie uważany za część zamkniętej przeszłości. Słuchając opowieści artystów i badaczy w większości przybyłych z Anglii i Stanów Zjednoczonych pomyślałem, że w zakresie innowacji, poszukiwań nowych kształtów i funkcji teatru Polska jest potęgą, a Wielka Brytania i spora część Europy - zapóźnioną, anachroniczną prowincją, wciąż toczącą spory o to, czy można odejść od autorskiego tekstu. Oczywiście w dyscyplinie "tradycyjny teatr dramatyczny" jesteśmy o wiele słabsi (chyba na własne życzenie zresztą, bo to my sami zniszczyliśmy własne tradycje w tym względzie), ale jeśli chodzi o alternatywę i awangardę wciąż jesteśmy w światowej czołówce.

Niestety sami tego nie doceniamy, nie potrafimy wykorzystać, także dla promocji polskiej kultury za granicą. Proponując różne formy upowszechniania wiedzy o dokonaniach

polskiego teatru poszukującego z Jerzym Grotowskim na czele, szukając wsparcia dla artystów usiłujących na różne sposoby tradycję tę kontynuować, wielokrotnie spotykałem się z reakcjami znudzenia, braku zainteresowania, nie wspominając już o ignorancji i zawstydzającej niewiedzy. Mówiąc po prostu: ta część dorobku polskiego teatru nie jest trendy. W pewnych kręgach nigdy nie była, a gdy po okresie międzynarodowego uznania i mody znalazła się w potrzebie, kręgi te z radością i dziką wręcz satysfakcją odreagowały lata wymuszonego uznania, powtarzając te same oparte na nieznajomości podstawowych faktów stereotypy i legendy.

Najbardziej oczywiście dotyka to najważniejszej postaci, czyli Grotowskiego. Warto by gruntownie zbadać dzieje jego "czarnej legendy" i dzieje pośmiertnej niechęci, dzieje pewnej siebie ignorancji, której może najbardziej dojmującym i załamującym przykładem był głośny wywiad Krystiana Lupy. Oczywiście nie można byłoby opowiedzieć tej historii bez kontekstu "kapliczki", jaką budują wokół "Bossa" niektórzy jego dawni współpracownicy i badacze jego twórczości. Ale też ten rzekomy kult, o który oskarża się wciąż ludzi zajmujących się Grotowskim, to gęba wyciskana na siłę od lat, pomimo wysiłków podejmowanych przede wszystkim przez wrocławski Instytut imienia artysty. Pracując w nim przez cztery lata, miałem nieustanne poczucie frustracji i walenia głową w ścianę. Co z tego, że napisałem popularną książkę podejmującą także tematy drażliwe (za kilka fragmentów oberwało mi się od świadków i sojuszników Grotowskiego)? Co z tego, że sporym wysiłkiem uruchomiliśmy portal [grotowski.net](http://grotowski.net), gdzie można obejrzeć setki zdjęć, filmów, przeczytać wiele podstawowych i mniej podstawowych informacji? Co z tego, że zorganizowaliśmy konferencję "Grotowski - inne spojrzenie", gromadząc młodych badaczy proponujących nowatorskie i krytyczne interpretacje dorobku artysty? Co z tego w końcu, że naprawdę ogromnym wysiłkiem przygotowaliśmy w międzynarodowym zespole z udziałem Agaty Adameckiej-Sitek, Igora Stokfiszewskiego, Carli Polastrelli, Mario Biaginiego i Thomasa Richardsa liczący ponad tysiąc stron tom "Tekstów zebranych" opublikowany wspólnie przez Instytut Grotowskiego, Instytut Teatralny i Krytykę Polityczną? Co z tego, skoro to po prostu w Polsce nikogo niemal nie obchodzi?

Prawda jest taka, że poza nielicznymi wyjątkami, polskie środowisko teatralne i teatrologiczne woli podtrzymywać fałszywe stereotypy i uprzedzenia, niż naprawdę przejąć

się i zająć Grotowskim. Przeczytać jego teksty, spróbować się zmierzyć z jego dorobkiem i z tym, co z jego tradycji zostało. Jednym Grotowski potrzebny jest jako święta marka dająca rozpoznawalność, innym jako czarny lud - pouczający przykład tego, jak źle się kończy opuszczanie bezpiecznego pola sztuki, a zarazem pozwalający na usprawiedliwienie własnej letniości. To może i smutne, ale prawdziwe: myślenie o Grotowskim w Polsce wydaje się niemal nikomu do niczego niepotrzebne.

I trzeba było dopiero amerykańskiej aktorki i prezenterki pudełkowej telewizji, żeby o Grotowskim zaczęło się mówić, żeby trafił do poczytnych portali i na łamy dzienników. Nie ukrywam, że budzi to we mnie poczucie goryczy, bo trudno go nie mieć, gdy bez skutku poświęciło się kilka lat pracy, by o Grotowskim przypomnieć, a wystarcza do tego jedna pomyłka celebrytki. Trudno go nie mieć też dlatego, że za chwilę pudełki zaczną obszcze kiwać co innego a "kapliczka" i "czarny lud" stać będą, gdzie stoją. Ale po tych kilku latach jestem już trochę uodporniony. Trzeba robić to, co zależy od nas, skoro dzieje się tyle, co nie zależy od nikogo. Lekceważyć głupie stereotypy, ignorować agresywną ignorancję i od czasu do czasu wpadać do jakiegoś Falmouth, by uwierzyć, że warto.